

187
574

M. Kisielnicki.

Z MOICH WĘDRÓWEK

..... TYPY I OBRAZKI.



DROGI DO PIEKŁA.
TRÓJKĄT MIŁOSNY.
WIELKI MICHAŚ.



LÓDŹ.

1907.

Nakładem i drukiem „Rozwoju”, Przejazd 8

DROGI DO PIEKŁA.

CZĘŚĆ I.

Lat temu parę... Wówczas, kiedy to deszcze tak ciągle padały, a mój mistrz—Sienkiewicz—w następnym roku przyjął na się ciężki obowiązek lektora i jeździł w towarzystwie innych prelegentów po całym kraju, zbierając fundusz na powodzian.

Nazwałem wielkiego autora „moim mistrzem”. Nic dziwnego, właśnie w owym czasie głosiłem z estrady li tylko jego utwory a ustęp końcowy z „Krzyżaków”, mianowicie «Bitwa pod Grunwaldem», z czem po raz pierwszy nareszcie popisałem się jako deklamator w stolicy kraju, zjednał mi publiczność i krytykę, dając tym sposobem patent na dalsze występy w miastach prowincjonalnych, w miejscach kąpielowych, letniskach i t. p.

Tuż za „Bitwą pod Grunwaldem” wystąpiłem z „Bartkiem zwycięzcą”, a występ ten w Warszawie równem cieszył się powodzeniem, poczem pod sztandarem mojego dowódcy, wyruszyłem na prowincye Królestwa Polskiego jak przed paru laty z wieszczem imieniem Mickiewicza obiegałem ziemię nad morzem Bałtyckiem nad Newą, za górami Kaukazu po Wołdze po

Kurhanach, Omskach i Tomskach, aż do Bajkału dotarłem.

Ale wracając do rzeczy w tym roku powodzi i deszczów nieustannych, pod koniec czerwca rozpocząłem marszrutę artystyczną od Ojcowa.

Szczęśliwie trafiłem! Żywej duszy nie było w Ojcowie to jest takiej duszy, któraby za bilet na moj występ zapłaciła. Jak na złość, zjechały się same „gratisowe dusze“: pracownica z administracji „Dziennika dla wszystkich” i jej mąż, były aktor, następnie dziennikarz z „Kurjera Porannego” wraz z żoną, baletnica z teatrów warszawskich, oraz dwóch dzierżawców miejscowej restauracji „Pod Łokietkiem”.

To wszystko „swoi ludzie”, bardzo mili, rozmowni, ale dochodu od takich art sta spodziewać się nie może.

Deszcz padał od wschodu do zachodu słońca, a potem od zachodu do wschodu słońca. Od lasów sosnowych na górach dym szedł gęsty, złowroźny.

— Musi będzie deszcz padał — przepowiadali woźnice, podjeżdżający i wracający codziennie z próżnemi bryczkami do domu z pod „Łokietka”.

Dwaj współnicy restauratorzy: jeden starszy, jasny blondyn, ale już lisy z dużemi wąsami, drugi ciemny blondyn, z jeszcze większemi wąsami i włosami na głowie jak u jeża sterczącymi, wychodzili raz wraz przed werendę restauracyjną, orlim wzrokiem chytrych oczu na kieszonienie gości przemysłowców zerkali w górę, ku chmurom. Westchnąwszy, kryli się w ciemnym